

się przyplątała do naszego domu?... Wynoś się do swojego kochanka, z którym się włóczysz po nocach!...

Józia podniosła głowę.

— Ja nie mam kochanka, a w tym domu przebywam jako żona Konrada... Ja nie pozwolę tak się obrażać, tak poniewierać sobą!

— Co?!... Co?!... Ty dziewczko śmiesz jeszcze?...

Zanim Józia zdążyła pojąć, co się dzieje — w pokoju rozległ się suchy trzask policzka i młoda kobieta poczuła ostry ból w twarzy.

Józia krzyknęła przeraźliwie i podniosła ręce, jakby chciała zasłonić się od dalszych razów.

Ten krzyk jej oprzytomnił trochę panią Żarnicką. Może też rozszalały gniew, znalazłszy tak brutalne ujęcie, opadł nieco.

Pani Żarnicka spojrzała w otwarte okno i zaczęła je pospieszenie, za późno, co prawda, zamykać.

Zaiskrzonemi oczyma wpatrywała się w synową, która stała orzutyłona do ściany, trzymając ręce przy twarzy, obraz bezradności i bezbronności.

Silne palce wpiły się w ramię młodej kobiety i zgmiotły je silnie.

— Ty, słuchaj! Jeżeli ośmielisz się turbować głowę Konradowi, to ja ci pokażę!... Nie tak jeszcze porachujemy się!... Ani mi się waży!... Rozumiesz?!

— Słyszysz?!

— Żadnej odpowiedzi. Ani jednej łzy, ani jednej skargi — jak gdyby Józia skamieniała.

Joasia, popijając kawę z porcelanowego garnuszka, zaśmiała się tak, że się o mało przełykanym płynem nie zachłysnęła.

— A to ci jej stara „fackę“ wypaliła!... Powiadam pannie Magdzi, to tak klasnęło, aż hej!... Stara ma mocną rękę!... Ha!... ha!... ha!...

Odstawiła garnuszek, ujęła się pod boki i śmiała się na całe gardło.

Kucharka Magdalena coś tam majstrując koło pieca kuchennego, pociągnęła nosem jakoś żałośliwie.

— Biedactwo!...

— Niby kto?

— A kłóży, jak nie młoda pani?... Dość to tem poniewierali, a teraz to już bić zaczynają.

— Dobrze jej tak, tej malowanej lali!... — wykrzyknęła z zawziętością pokojówka.

— A cóż ona komu krzywa?... Bogu ducha winna... Powie to kiedy złe słowo?...

— Jeszczeby też!... Dałabym ja jej!...

— Co też sobie panna Joasia do tej biedoty upatrzyła, to już nie wiem. Kiedy ta Józia to bardzo przyjemna...

— Dajże mi panna Magdzia spokój z taką przyjemnością!... Mnie dość dyabli biorą, że ją obsługiwać muszę, a centa, to od niej nigdy nie uświadczy.

— Bo i nie ma sama. Żeby miała, toby do Gelblisza nie chodziła!...

— A pocóż się pchała do państwa, dziadówka jakaś!... Nie brońże jej panna Magdzia, bo to taka cicha woda!... Nie zabrała to panience kawalera, aha!...

— Jakiego kawalera?

— A tego Łuniewskiego!... To był „konkorent“ do Loli, a teraz miła bratowa romans z nim zaprowadziła.

— Patrzcie, moi ludzie! Ktoby się spodziewał!... — klasnęła rękami kucharka — Józefie święty!... Co też to za świat teraz!... Przecież mężatka!...

Joasia wstała od stołu, podeszła do Magdaleny i nachyliła się tajemniczo do jej ucha:

— Po nocach do niego lata!...

— Bożeż ty mój!... Nie może być... A kto to widział?...

— To też, że nikt nie widział, bo to chytra sztuka!...

— Oknem nie wyskoczy!...

— Taka na wszystko sposoby ma!... I żalować jej!... Ja, bywszy panią, nie takbym jej jeszcze pyski sprala!... Niechby ruski miesiąc pamiętała!...

Magdalena załamała ręce na swoim różowym fartuchu i chwiejąc głową z nadmiernego zdziwienia, mówiła:

— Co też się to nie dzieje!... A co młody pan powie?...

— A pewnie tę małpę wyrzuci, jak się o wszystkim dowie!...

— Ślubna żona!...

— I... taka ta żona!... To był tylko „wojenny“ ślub!...

— A co ona teraz robi!...

— A bo ja wiem!... Cicho tam u niej, że nie nie słysząc.

— A pani z panią wyszła?...

— A jakże!... Stara wzięła fiakra i pojechała się trochę ochłodzić po tej złości!... Bała się, by się w niej krew nie zagotowała.

— Czy pani Żarnicka w domu?

— Całuję rączki. Niema, proszę pana. Pojechała na spacer z panią.

Oczy Joasi śmiały się złośliwie, spoglądając na Łuniewskiego, który jednym palcem prawej ręki muskał nerwowo swoje ciemno-blond włosy.

— A młodsza pani Żarnicka jest?

Pokojówka przybrała układną minę i spojrziała w ziemię.

— Jest, proszę pana.

Łuniewski przez chwilę wahał się. Wałczył ze sobą. Ale chęć zobaczenia Józii zwyciężyła.

— Niech panią zapyta, czy pani przyjmuje?

W przedpokoju było ciemno, Julian nie mógł więc zaobserwować złych, zjadliwych błysków w oczach dziewczyny.

— Pani przyjmuje, proszę pana!... Jest w swoim pokoju!... Właśnie dopiero wyszła od niej jedna pani!... — kłamała jak z nut Joasia.

Łuniewski w milczeniu poszedł za służącą.

— O, tutaj jest młodsza pani.

Joasia pomknęła czempredzej do kuchni, tłumiąc złośliwy śmiech.

— A to jej stara poprawi, jak się dowie!... — szepnęła sama do siebie.

Łuniewski zapukał do drzwi raz i drugi. Nikt się nie odezwał. Po chwili namysłu pociśnął klamkę i wszedł.

W pokoju panował szary półmrok. Można było jeszcze wyraźnie rozróżnić kontury mebli.

Pod oknem, na ziemi, widniała skulona nieruchoma postać.

— Zemsta!?! — błysnęła mu trwoźna myśl.

Poskoczył ku niej, potykając się po drodze o porzucony Józin kapelusz. Pochylił się i posłyszał, że skuloną postacią wstrząsają spazmatyczne łkania.

— Pani Józio!...

Żadnej odpowiedzi. Tylko łkania stały się głośniejsze.

— Co pani?... Dziecko!... Dziecko!...

Dźwignął ją z ziemi i nieopierającą się, bierną prowadził do krzesła. Usadowił Józję, a potem ją zapalać lampę, która stała na stole.

Żółtawe światło oblało twarz Józii, niepodobnej w tej chwili do samej siebie. — Pasma włosów, zmoczone od łez, rozrzucone spadały na czoło, oczy, policzki. Oczy były napuchnięte, a na policzkach czerwone plamy. Jeden policzek miała Józia nieco obrzękły.

— Józio!... Józio!... Co się stało?!

Odbiegła go paląca jak ogień namiętność. Czuł tylko bezmierne współczucie dla tego nieszczęśliwego, zapłakanego, bezbronnego stworzenia.

Domyślił się, że między Józją, a jej teściową rozegrała się jakaś brutalna scena, w której pani Żarnicka sponiewierała do ostateczności młodą kobietę.

— Dziecino słodka!... Biedna!...

Delikatnie głaskał jej rozrzucone włosy i odgarniał je z czoła. Józia nie broniła się, nie protestowała. Znekana, zmięta, wyczerpana biernie poddawała się tej pieczy.

Łuniewski spostrzegł lekkie obrzęknięcie policzka Józii. Mignęło mu podejrzenie. Czyżby?!

Na samą myśl o takim sponiewieraniu jego „cudu“ wstrząsnął nim paroksyzm wściekłości na panią Żarnicką i jej dzieci.

— Podle gniazdo!... — rzucił sam do siebie przez zaciśnięte zęby.

Józia nie przestawała płakać. Głowa jej pochylała się teraz bezradnie na podtrzymujące ją ramię mężczyzny.

— Dziecino słodka!... Pokrzywdzili cię!...

Strasznie pokrzywdzili, prawda!...

— O!... Tak!... Tak!... — wybiegło wśród płaczu z drżących ust.

Coraz silniej, coraz śmielej opasywało ramię Łuniewskiego Józję. Głosem, w którym czuć było wzrastające roznamietnienie, zaczął szeptać:

— Cicho!... Nie płacz!... To się skończy!... Ja nie dam!... Nie pozwolę!... Boś ty moja!... Ty musisz być moja!...

Chciwe, rozpalone usta zbliżał ku jej wargom. Gorący oddech owiał twarz młodej mężatki.

Józia, jakby ze snu czy odrętwienia zbudzona, drgnęła nagle silnie, skoczyła na równe

nogi i wyrывая się z opasującego ją uścisku krzyknęła. Był to ten sam krzyk, co przy otrzymaniu uderzenia i krzyk znieważonego człowieka.

— Panie Łuniewski!... Niech pan natychmiast stąd wyjdzie!...

— Józio!...

— Jak pan śmie tak mnie nazywać!... Proszę stąd iść!...

Ogień bił na twarz młodej kobiety. Skrzyżowane ręce przyciskała do falujących piersi. Wpół otwarte usta ciężko i nierówno chwytaly oddech.

Łuniewski nie zamierzał wcale spełnić rozkazu Józii. Nie tylko nie zabierał się do wyjścia, ale postąpił bliżej kilka kroków.

— Co się z panią dzieje?!

— Niech pan wyjdzie!... Jeżeli ma pan w sobie iskrę honoru i trochę litości nademną, niech pan idzie!...

Łuniewskiemu oczy błysnęły zielonawym ogniem.

— A jeżeli nie wyjdę?!

— To... To ja stąd wyjdę!...

Józia skierowała się ku drzwiom, ale Julian zastąpił jej drogę i powstrzymał ją wymownym gestem ręki.

— Odchodzę, pani Józio, bo pani tak każe!... ale wróć!...

Ton, jakim wypowiedział to słowo „wróć“, nabrzmiały był niezachwianą pewnością zdobywcy. Ale Józia nie zwróciła na to uwagi. Ona wogóle w tej chwili nie była zdolna do jakichkolwiek obserwacji. Zapuchniętymi, zaczerwienionymi oczami spojrzała na Łuniewskiego bardzo smutnie i żałośnie wyszepiała:

— I przez pana także!... Po co ja pana poznałam!...

Joasia była przekonana, że pani Żarnicka wpadnie od razu do pokoju synowej i zrobi „straszny chryję“, skoro dowie się, że pan „Łuniewski“ był u młodszej pani. Bardzo długo rozmawiali ze sobą.

Omyliła się jednak, bo pani przyjęła tę wiadomość z najzupełniejszym spokojem. Chłodnym, surowym wzrokiem spojrzała w rozbiegane, chytre oczy służącej.

— Tak?... I pocóż mi to opowiadasz? Czy cię o to pytałam?...

Joasia zmieszała się i poczęła zwijać w rękę róg fartucha!...

— Ja myślałam, proszę pani!...

— Nie pytam coś myślała. Wiesz, że nie lubię, kiedy mówisz za dużo. Nakrywaj zaraz do stołu. Tylko uważaj, żebyś znowu jakiego talerza nie sifukła.

Joasia, czerwona jak piwonia, wyszła do kuchni po nakrycia. Matka z córką zostały same.

Lola nie zdołała zachować spokojnej i obojętnej miny. Kiedy posłyszała nowinę o wizycie Łuniewskiego u Józii, rękawiczki, które zdjęła przed chwilą, wypadły jej z drżących rąk na ziemię.

Czarne oczy roziskrzyły się. Błada twarz, chorobliwie biała, oblała się falą krwistego rumieńca.

— Mamo!... — wyrwało się z gardła Loli zduszonym głosem.

Pani Żarnicka zwróciła na córkę spokojne, przenikliwe spojrzenie.

— Czego chcesz?...

— Co mama jej za to!... Jak ona śmie!... Pod naszym... dachem!... Konrad!...

— Nic jej teraz nie powiem — odpowiedziała matka. — Na dzisiaj dosyć.

— Jaki?!

Pani Żarnicka rzuciła się ku drzwiom, ale w tej chwili poczuła na swym ramieniu silną rękę matki.

— Lola, stój i opamiętaj się. Co ty chcesz robić?!

— O co ci chodzi?!

Dziewczyna stanęła, drżąc cała.

— To mama jej o taką Larchównę awantury!... A za to, że ona sobie schadzki!... to nic!...

Spojrzenie pani Żarnickiej nabrało ostrych połysków stali.

— Lola!... Mówię ci, opamiętaj się!... Radzę ci!... — Przeszyła córkę wzrokiem, który zdawał się sięgać do najgłębszych skrytek duszy wzburzonej dziewczyny.

— (Ciąg dalszy nastąpi.)